

KONTYNUACJA
BESTSELLERA
spark



*Vanitas vanitatum
et omnia vanitas*

flame

MONIKA RUTKA

[r u m o t k a]

be
YA!

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja i korekta: Anna Skóra

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://beya.pl/user/opinie/flamee>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-9232-8

Copyright © Monika Rutka 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

*Dla każdego, komu zasłonięto oczy w świecie dorosłych.
Chwyć mnie za rękę.
Będę Twoimi oczami.*

OSTRZEŻENIE!

Flame porusza wiele wrażliwych tematów, w tym przemoc, znęcanie się nad dziećmi oraz uzależnienie od alkoholu. Bądź tego świadomy, zanim sięgniesz po książkę. Dbaj o siebie i swoje zdrowie psychiczne!

Prolog

— Czy to nie ty ostatnio mówiłeś, że zapijanie smutków nie jest wyjściem? — Do moich uszu dociera ten kurewsko irytujący głos.

Nie patrzę przez ramię. To bez sensu. Wiem, że tam stoi i stał będzie też za dziesięć czy trzydzieści minut. Jest natrętny i wścibski. Nie wiem, po kim to odziedziczył, ale niech spada. Nie chcę go tutaj.

Poruszam trzymaną w ręku szklanką, aby wymieszać znajdujący się w niej alkohol, po czym przechylam ją i zeruję. Ciecz parzy moje gardło. Lubię to uczucie, szczególnie gdy jestem wkurwiony. Jak na przykład teraz.

— To samo — mówi, a ja kątem oka widzę, że siada obok mnie.

Wyłapuję, że na ręce ma sygnety, w których odbija się światło słabych jarzeniówek. Wygląda jak pierdolony dzieciak z bogatego osiedla. Na pewno jest tego świadomy, ale nigdy się nie przyzna. On w ogóle cały jest zakłamany. Dokładnie tak jak ja.

Przywołuję ręką chłopaka, który może być w moim wieku. Proszę o następną kolejkę. Nagle na blacie pojawia się wyprasowany, zielony banknot.

— Spierdalaj. Nic od ciebie nie chcę. A w szczególności forsy — rzucam ostro.

Między nami zapada cisza.

Evan — przynajmniej tak mówi mi plakietka na koszulce barmana — wypełnia sprawnie kolejną szklankę whisky i przesuwa w moją stronę. Nie wiem, która to już, ale w sumie gównie mnie to obchodzi. To bez znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Zwłaszcza teraz.

— Jesteś tego pewien? — odzywa się znowu dupek obok, a ja mam ochotę chwycić pieprzoną butelkę i rozbić mu ją na głowie.

Ile można, do chuja, gadać? Nie widzi, że go tu nie chcę?

— Ostatnio w moim życiu nie ma słusznych decyzji, więc co za różnica — burczę tylko, mając nadzieję, że w końcu się przymknie i pozwoli mi w spokoju się napić.

Oczywiście nie byłby sobą, gdyby tego, kurwa, nie skomentował.

— Wiesz, że to samo powiedziała mi chwilę przed wyjazdem do Crosby, gdy tu siedzieliśmy?

Spinam się na wspomnienie o niej.

„Logiczne, że nie wiem. Skąd miałbym to wiedzieć, skoro mnie tu nie było?” — myślę sobie, ale ostatecznie zachowuję milczenie. Jeszcze pomyśli, że mnie to interesuje.

Zeruję kolejną szklankę, a wszystko wokół mnie zaczyna powoli wirować.

Miała rację. Wtedy człowiek naprawdę nie myśli...

Kiedys powiedziałaś mi, że gdy spojrzę w Twoje oczy, zobaczę w nich siebie. Nie rozumiałem tego. Nie wiedziałem, że mówiąc to, miałaś na myśli jedność, jaką się staliśmy. Byliśmy tacy sami. Rozumieliśmy się bez słów. Czytaliśmy sobie w myślach. Wewnętrznie czuliśmy, gdy coś jest nie tak. Nadal to czuję. Moja klatka piersiowa ściska się ze strachu. Nie mogę jednak nic zrobić. Nie — po tym wszystkim...

Jestem pewien, że kiedys — może nie teraz, może za kilka miesięcy czy lat — zrozumiesz, dlaczego to zrobiłem. Nie chciałem tego zrobić.

Musiałem to zrobić. Wybacz mi.

Twój C.

Rozdział 1

CHASE

Przejeżdżam językiem po zębach, ze znudzeniem obserwując, jak Logan robi kolejną kreskę. Obracam w palcach zwinięty banknot, a gdy spotykam wzrok królowej Elżbiety, odrzucam zwitek na stół. Gdybym wiedział, że Turnerowi pójdzie tak opornie — sam bym się tym zajął.

— Możesz się pospieszyć?

— Możesz się zamknąć?

Wzdycham rozdrażniony.

Słyszę, jak mój telefon znowu brzęczy. To już chyba dwunasty raz w przeciągu ostatniej godziny, co strasznie mnie wkurwia. Nie wiem, dlaczego nie wyrzuciłem jeszcze tego gówna przez okno. Już dawno powinienem to zrobić. Miałbym przynajmniej święty spokój.

Wychylam głowę za kanapę i wysuwam rękę w stronę szafki, na której leży urządzenie. Rzuciłem je tam jakieś trzy dni temu.

Od: Jon

Znowu wymiotowała.

Mimo że nie odpowiedziałem jeszcze na żadną z kilkudziesięciu wiadomości, Jonathan się nie poddaje. Ciągłe wypisuje mi o tym, jak ona się czuje, i że Josephine odchodzi od zmysłów. Naprawdę nie wiem, czego ode mnie oczekują po tym wszystkim.

— Dobra, nie męcz się już z tym — rzucam, kiedy Logan zaczyna dopiero formować drugą kreskę. Opieram się dłońmi

o oparcie i wstaję na nogi. Turner patrzy na mnie z niezrozumieniem. — Jadę do domu.

Trochę mijam się z prawdą, ale co tam... Biorę z kanapy bluzę i ją zakładam, a z szafki zgarniam klucze i telefon. Znowu wibruje. Tym razem dzwoni Josephine. Blokuję ekran i wciskam urządzenie do tylnej kieszeni spodni.

— Co? Jesteś pewny? Jechać z tobą? — pyta Logan, podnosząc się z kolan.

Widzę, że ma cienie pod oczami. Jest zmęczony, ale oczywiście się nie przyzna, bo jak zwykle robi za pierdoloną matkę Teresę. Czasem mnie to wkurza, ale jednocześnie wiem, że drugiego takiego przyjaciela już nigdy i nigdzie nie znajdę.

— Taa, poradzę sobie. Kiedyś przecież będę musiał tam wrócić, nie? — Uśmiecham się krzywo, a Turner nawet na moment nie spuszcza ze mnie spojrzenia. Przygląda mi się uważnie, ale w końcu kiwa tylko głową.

— No dobra. — Wzdycha i przeczesuje ręką włosy.

Nie mówiąc nic więcej, ruszam w stronę drzwi, a kiedy już mam wyjść, słyszę jeszcze jego głos:

— Wiesz, moim zdaniem mieli jakiś powód, że ci o tym nie powie-
dzieli. Jestem pewien, że też już o tym myślałeś.

„Oczywiście, że myślałem. Starałem się tego nie robić, ale, no kurwa, myślałem”.

Nie odpowiadam. Wychodzę z pokoju i ruszam w stronę schodów. Słyszę grający w salonie telewizor, ale mam nadzieję, że nikogo tam nie ma. Naprawdę nie mam ochoty gadać z mamą Logana ani jego ojcem, a w szczególności z Charlotte. Jest w porządku, ale wczoraj już bardzo irytowała. Za dużo gadała i wszystko chciała wiedzieć. No i ciągle przepraszała mnie za Matta, jakby to była jej wina, że jest kutasem. Nie wyjdzie na tym dobrze. Mam nadzieję, że szybko go sobie odpuści, bo O'kelly nie zasługuje na to wszystko, co ona dla niego robi.

W korytarzu zakładam szybko buty i wychodzę na zewnątrz. Pada deszcz, więc naciągam kaptur. Kiedy udaje mi się dostać do samochodu, klnę pod nosem, bo mój telefon znów wibruje. Mam serdecznie dość Josephine, Caroline i Jonathana. Wiem, że pewnie się martwią, ale obecnie mam to totalnie gdzieś. Chciałbym się tym przejmować, tyle że nie potrafię. Nie umiem tego wyjaśnić. Po prostu mam wyjebane.

Wysuwam aparat z kieszeni i marszczę brwi.

— Co? — burczę do słuchawki, gdy przykładam go do ucha.

— Telefon sobie w dupę wsadziłeś czy jak? — pyta ostro Dominic. — Czemu znowu nie było cię na treningu?

Jest zły, ale to też mam gdzieś.

— Byłem zajęty.

— Za cztery dni masz walkę, a ty byłeś, kurwa, zajęty?! — Z każdym słowem mówi coraz wyższym tonem, a ja mam ochotę parsknąć, bo na końcu brzmi jak pierdolona baba.

— No tak.

— Jesteś chory na umyśle — mamrocze już trochę spokojniejszy.

Nie mogę powstrzymać się przed przewróceniem oczami. Lubię Doma, ale czasem jest irytujący. Jak na przykład teraz.

— Kiedy mogę się ciebie spodziewać? — Słyszę znajomy dźwięk odpalanej zapalniczki.

— Jutro. — Uruchamiam samochód z telefonem przy uchu. — Może — dodaję po chwili.

— Chase, do chu...

Nie chcąc już słuchać jego głupiego gadania, rozłączam się i rzucam urządzenie na siedzenie obok. Sprawnie wyjeżdżam z podjazdu Turnarów, a chwilę później włączam się do ruchu.

Mam gdzieś przygotowania do walki, Dominica i w ogóle wszystko. To bez znaczenia. Będzie, co będzie, i tyle.

Zaciskam dłonie na kierownicy, kiedy mijam kolejne ulice Crosby. Do mojej głowy znowu napływają myśli, przed którymi tak uporczywie się wzbraniałem. Nie jestem idiotą i wiem, że narkotyki nie są wyjściem, ale musiałem się wyzerować, bo za chuja nie rozumiałem tego, co widziałem i słyszałem.

Trzy dni wcześniej

— Już, kurwa, po tobie! — krzyczy mi do ucha Logan.

Paraskam śmiechem. Co za idiota.

Wciskam przycisk na padzie i mocno zaciskam usta. Wyteżam wzrok, sprawnie manewrując jednym z graczy. Piłka należy do mnie, więc w końcu mogę się wykazać. Na razie wygrywam. Nie lubię jakoś bardzo

FIF-y, w przeciwieństwie do Turnera, ale fajnie czasem z nim pograć. To dobra odskocznia od tych codziennych treningów przed walką.

— Cześć. — Słyszę za plecami tak dobrze znany mi już głos, na którego dźwięk serce bije mi w zajebiście szybkim tempie.

— No, kurwa, nie! — wydiera się Logan i wstaje. — Widziałaś, Lizzy? Było tak blisko! — Pokazuje palcem na ekran, bo wygrałem.

Przewracam oczami na to, jaką królową dramatu jest Turner, i odkładam pada na stolik. Prostuję kolana, a mój wzrok pada na nią. Stoi tam. Ubrana w moją czarną bluzę i spodnie w tym samym kolorze, z potarganymi włosami wygląda, jakby spała czy coś, bo ma rozmazany makijaż. Nie wiem czemu, ale w takim beznadziejnym wydaniu podoba mi się najbardziej. To o wiele lepsze od tej sukienki, którą miała ostatnio na sobie, chociaż w niej też wyglądała naprawdę dobrze.

— Cześć — mówię w końcu i dopiero teraz widzę jej oceaniczne spojrzenie. — Jak było?

Płakała. Ona zawsze ma takie oczy, gdy płacze albo jest smutna.

— W porządku. Jestem tylko trochę zmęczona. Nie sądziłam, że siedzenie za kółkiem może być aż tak wyczerpujące.

Logan parska śmiechem. Dziewczyna wysuwa w odpowiedzi środkowy palec. Nie spuszczam z niej wzroku nawet na sekundę.

— Przyszedł do ciebie jakiś list. Zostawiłem go na komodzie — rzucam w końcu, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Muszę przyjrzeć się Lizzy, bo naprawdę nic nie rozumiem. Najchętniej zadałbym dziesiątki pytań, ale nie chcę wprawiać jej w zakłopotanie przy Turnerze.

— Och, okej. Dzięki — mówi, udając niewzruszoną. Parker jest kurewsko słabą aktorką. — Pójdę się ogarnąć i wykapać. Grajcie sobie, nie będę przeszkadzać. — Poprawia torbę na ramieniu i znika za ścianą.

— Ładna bluza! — krzyczy do niej Logan.

Nie odpowiada. Słyszę, jak chwilę później zatrzaskuje drzwi do swojego pokoju.

— Coś jest nie tak — mamroczę bardziej do siebie.

— Co? O czym ty mówisz? — Turner marszczy brwi.

Do moich uszu dociera pukanie, dlatego ruszam w tamtym kierunku.

— Zaraz wracam.

Z głową pełną myśli idę na korytarz. Chwytam za klamkę i otwieram drzwi, za którymi stoi mężczyzna, mniej więcej mojego wzrostu.

Ma ciemną karnację i zaczesane do tyłu włosy. Potrzebuję chwili, żeby zorientować się, że widziałem go już wcześniej w klubie, w którym byliśmy tydzień temu. Paliliśmy razem papierosa i chwilę gadaliśmy. Dowiedziałem się wtedy, że jest właścicielem „The Chain” i że przyjechał tutaj do swojej żony, której dawno nie widział. Ogólnie — dziwny typ, ale to nieważne. Bardziej interesuje mnie, co do chuja tutaj robi.

— Chase!

Gość przede mną milczy, a na jego ustach maluje się dziwny uśmiech, gdy rozbrzmiewa głos Parker.

— Chase! — powtarza głośniejszą dziewczyna, a chwilę później słyszę, jak wychodzi z pokoju. — Chase! — krzyczy wręcz, zbiegając ze schodów.

Patrzę, jak zatrzymuje się w pół kroku na ostatnim ze stopni, gdy jej wzrok pada na faceta w drzwiach. Jej policzki są mokre od łez.

Bicie mego serca przyspiesza.

— A więc to on tak zmasakrował mego znajomego. Nieźle — mówi nagle ten typ i zaciąga się papierosem.

Z twarzy blondynki odpływają wszystkie kolory. Wygląda, jakby lada moment miała runąć na ziemię. To sprawia, że czuję jeszcze większy niepokój. Odwracam głowę tak, że teraz patrzę na nieznajomego, i orientuję się, że on też mnie obserwuje.

— Jestem Omar. Przyjechałem do Claire, choć tutaj podobno chętniej przedstawia się jako Elizabeth. — Śmieje mi się prosto w twarz, a ja dębieję.

— Kim ty, do chuja, jesteś?

Kim jest Claire? I co on robi w naszym domu?

Facet rzuca papierosa na beton i przygniata go butem. Jest rozba-wiony, a ja nie wiem czym. Wygląda jak jakiś psychol, no i kurwa, to nie jest normalne, że przychodzi tutaj i mówi takie rzeczy. Jakby... No kurwa mać!

— Zabawne, że Terrence wybrał właśnie ten dom. — Parska, rozglądając się po korytarzu.

Co do...

— Powiedz mi, Claire, jak to jest, że każda z kobiet w domu Parke-rów ma słabość do Warrenów? — Uśmiecha się krzywo, a jego wzrok znów pada na mnie. Mierzy moją osobę od stóp do głów i prycha pod nosem. — Przecież nie ma w nich nic wyjątkowego.

Kim do chuja jest Warren i skąd on zna nazwisko Lizzy?! Jaka Claire?!

— Myślałem, że jesteś tak samo głupia jak ojciec. Cóż, myliłem się. Jesteś jednak jak twoja matka. Zabawne, jak historia zatacza koło. Teraz to ty oddałaś się młodemu Warrenowi, dokładnie tak, jak Margaret osiemnaście lat temu Dominicowi. Ciekawe tylko, kto tym razem skończy z kulką w głowie, a kto na sznurku — mówi rozbawiony.

Zamieram.

Mój ojciec miał na imię Dominic. Dominic, ale Clarke, nie Warren. To musi być jakaś pomyłka.

Patrzę na Parker, która rozwija jakiś papier i na niego patrzy. Wygląda, jakby co najmniej zobaczyła ducha, kiedy jej wzrok pada znów na mnie.

Nagle do moich uszu dociera śmiech Jo.

— Tak, oczywiście, że tak, ale... — Ciotka zatrzymuje się w pół zdania, kiedy przekracza próg domu. Chwilę później za jej plecami dostrzegam Jonathana.

— O! Rodzinka w komplecie! Jak miło! — kpi ten cały Omar. — Co słyszać u twoich sióstr, Josephine?

— Wyjdź stąd albo zadzwonię po policję — grozi Jonathan, wyjmując z kieszeni telefon.

Nie mówię nic. Po prostu stoję skołowany na środku korytarza i obserwuję twarze przede mną.

Facet śmieje się w głos.

— W porządku. Zgłosimy od razu, że pod tym adresem przebywa kobieta, której dane w dowodzie osobistym nie zgadzają się z tymi w rejestrze uczniów.

Staję bokiem, aby spojrzeć na Elizabeth. Jest dokładnie tam, gdzie była wcześniej. Nawet z tej odległości dostrzegam, jak bardzo nijakie są jej oczy. Jakby w jednej chwili wyparowało z nich życie.

— Odpowiadając na twoje pytanie, Warren... albo Shaw, jeśli wolisz...

W tamtym momencie poczułem, jakby ktoś odciął mi dopływ tlenu i pozostawił na pewną śmierć.

— ...jestem mężem Claire.

Patrzę tępo na stojącego przede mną faceta, który uśmiecha się zwycięsko.

— Matko, żałujcie, że nie widzicie swoich min! — mówi mężczyzna.

Chcę coś zrobić, walnąć mu w twarz, cokolwiek, ale nie mogę. Jestem w szoku. Mam wrażenie, jakbym był za pieprzoną mgłą. Nie rozumiem nic z tego, co ten typ powiedział, za to Parker wręcz przeciwnie. Ona doskonale wie, co się dzieje... Oni wszyscy to wiedzą, bo chociaż są zaskoczeni, widzę jednocześnie, że spodziewali się tego. Przez to czuję się jeszcze bardziej zdezorientowany.

— To prawda? — Tylko tyle potrafię z siebie wydusić.

Dziewczyna nie mówi nic. Patrzy na mnie tymi swoimi wielkimi szarymi oczami, nie wypowiadając absolutnie żadnego słowa. Wygląda, jakby w środku nie było już nikogo, jakby życie z niej uleciało. Jakby zniknęła osoba, którą znałem. Nie poznaję jej. W jednej sekundzie stała się zupełnie obcym człowiekiem.

Przenoszę spojrzenie na Josephine. Po jej policzkach płyną łzy. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale równie szybko je zamyka.

— Oczywiście, że to prawda, na miłość boską. — Omar przewraca oczami, wyraźnie zirytowany.

Znowu patrzę na Parker. Gdy po dobrej minucie ciszy nie doczekuję się odpowiedzi, ruszam w stronę stojącego w drzwiach faceta.

— Chase, zaczekaj, porozmawiajmy. — Ciotka chwytá mnie za ramię, jednak szybko ją odtrącam. Jej ręce parzą.

Popycham Omara, przez co ten lekko się chwieje. Wychodzę na zewnątrz.

Ona milczy. Nie mówi nic. Nie zatrzymuje mnie. Po prostu stoi i patrzy, jak odchodzę.

Obecnie

Wciskam mocniej pedał gazu. Krople deszczu coraz szybciej spadają na przednią szybę, dlatego uruchamiam wycieraczki. Jest chwilę po czwartej. Ludzie chodzą po mieście albo dopiero wracają z pracy. Życie toczy się dalej, jakby to wszystko, co się dzieje w moim życiu, nie miało większego znaczenia.

Dziesięć minut później parkuję przy budynku z czarnej cegły. Nie wiem, ile czasu wgapiam się w bliżej nieokreślony punkt przed sobą, ale kiedy już się ogarniam, naciągam kaptur i wychodzę na zewnątrz. Ze spuszczoną głową idę wzdłuż ściany, po czym wchodzę do środka lokalu.

W korytarzu panują egipskie ciemności. Potrzebuję chwili, żeby oczy się do nich przyzwyczyły. Słyszę muzykę, dlatego ruszam w kierunku, z którego dochodzi. Spuszczam wzrok na oszkloną podłogę. Pamiętam, jak tydzień temu siedłem tędy z Parker. Przyspieszam kroku.

Z rękami wciśniętymi w kieszenie bluzy docieram do głównego pomieszczenia klubu. Za ladą stoi jakiś facet, a kilka stolików jest już zajętych. Rozglądam się leniwie, przejeżdżam językiem po zębach i podchodzę do baru.

— Co dla ciebie? — pyta barman, kiedy tylko siadam.

— Zastałem właściciela?

— Niestety nie. Minęliście się. Pan Omar wyszedł jakieś pięć minut temu.

— W porządku. W takim razie niech będzie whisky z lodem.

Facet od razu odwraca się na pięcie i zaczyna realizować moje zamówienie. W tym czasie postanawiam raz jeszcze przyjrzeć się wszystkiemu. Gdy byłem tutaj wcześniej, klub był wypełniony po brzegi. Teraz mam okazję zobaczyć praktycznie pusty. Gołym okiem widać, że włożono w niego niemałe pieniądze. Kim, do kurwy, jest ten facet, skoro stać go na takie inwestycje?

Barman przesuwając po blacie szklankę z alkoholem, patrzy na coś — albo kogoś — za moimi plecami, po czym wraca do pracy. Ja w tym czasie wypijam trzy duże łyki i opieram się łokciami o ladę. Kurwa, nawet to szkło wygląda zajebyście drogo.

— Jak bardzo źle jest? — odzywa się nagle jakiś typ. Kątem oka widzę, że siada obok mnie. — To, co zawsze.

Nie odpowiadam. Wpatruję się w whisky, nie myśląc o niczym.

— Jesteś tutaj w środku dnia, przyjechałeś samochodem, a zamawiasz alkohol. Mam dwie teorie. — Nieznajomy nie daje za wygraną. — Problem tkwi w kobiecie.

Marszczę brwi. Patrzę w prawo, żeby przyjrzeć się rozmówcy. Jest może trochę starszy ode mnie, ale niedużo. Na oko ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

— To tylko jedna teoria — zauważam.

Facet uśmiecha się głupio, wypija duszkiem całą zawartość szklanki, którą właśnie podsunął mu barman, a kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, wzdycha.

— Najpewniej zraniłeś jakąś albo jakaś zraniła ciebie — precyzuje.

— Skąd ta pewność, że chodzi o kobiety?

— Bo kobiety to same problemy.

Między nami nastaje chwila ciszy.

— Powiedzmy, że zataiła przede mną istotne fakty o sobie. — Biorę
łyk whisky.

Nie mam jebanego pojęcia, dlaczego w ogóle rozpocząłem rozmowę
z jakimś przypadkowym typem w barze. To pojebane i zupełnie niepo-
dobne do mnie.

— Życie to jedna wielka gra. Jak szachy. Pytanie brzmi, czy znasz jej
zasady i swoje miejsce na planszy. Ludzie nieustannie oszukują i stwa-
rzają pozory. To jak zaraza, której nie idzie wytepić. — Wzrusza ramio-
nami, po czym zeruje szklankę.

Nawet nie wiem, w którym momencie zamówił następną kolejkę.

— Co zatem radzisz w takiej sytuacji?

— To proste. Nie daj się ograć. Musisz przewidzieć kolejne ruchy
gracza. Poznać jego taktykę. Jeśli jest on krętaczem, z pewnością ma
swoje sposoby. Zwykle się powielają. Wystarczy je wyłapać. Kiedy już
je rozpracujesz, nie daj tego po sobie poznać. Twórz iluzję i graj dalej.
Nie dąż do ostatniego słowa. Dąż do tego, aby przeciwnik się poddał.

Obserwuję bruneta, myśląc nad jego słowami. Łapię spojrzenie bar-
mana, który cały czas przysłuchiwał się naszej rozmowie. Przykładam
w końcu szklankę do ust i zeruję ją.

— Ciekawe spojrzenie na sprawę. Gorzej, gdy w grę wchodzi uczucia.

— Dlatego warto się ich wystrzegać. — Jego odpowiedź przychodzi
niemal automatycznie.

Uśmiecham się pod nosem.

— Musiała cię naprawdę skrzywdzić. — Wyjmuję z kieszeni portfel
i zostawiam na blacie dwadzieścia funtów. — Reszty nie trzeba. Dzięki
za rady...

— Herman. — Facet wysuwa w moim kierunku dłoń, którą ściskam.

— Chase.

Żegniam się z barmanem skinieniem głowy, po czym opuszczam lo-
kal. Na dworze jest już szaro i nadal zajeżdżają leje. Naciągam na głowę
kaptur, aby wrócić do samochodu. Nie jestem pijany, choć zdecydowa-
nie szumi mi w głowie. Nie mam jednak ochoty wracać na piechotę.

Odpalam silnik i sprawnie włączam się do niedużego ruchu na drodze. Ręce mam zaciśnięte na kierownicy, a wzrok wytężony. Im dłużej nie jestem na dragach, tym więcej myśli pojawia się w mojej głowie. Staram się jakoś to wszystko ułożyć, ale za chuja nie potrafię. To popieprzone. Ani Josephine, ani Theresa nie wspominały o tym, że poza nimi mam jeszcze jakąś rodzinę. Parker też nigdy nie powiedziała mi o żadnym Omarze. Kurwa, ona w ogóle niewiele o sobie mówiła. Tak naprawdę wiem tylko, że jej ulubiony kolor to zielony, że jej mama nie żyje i że na drugie ma...

Moja noga automatycznie wciska hamulec, a ja zataczam się do przodu od siły i prędkości, z jaką samochód się zatrzymuje.

„Kiedyś, gdy byłem dzieckiem, mój ojciec powiedział mi, że jeśli poczuje zagrożenie, a ktoś spyta o to, kim jestem, mam przedstawić się swoim drugim imieniem, czyli Claire”. Kurwa. „Za kilka lat prawdopodobnie uratuje mi to życie. Kiedyś na pewno ci o tym opowiem”. Właśnie te słowa powiedziała mi na plaży, gdy zapytałem ją o coś, o czym nie wie nikt inny. Właśnie tym się ze mną podzieliła.

„Przyjechałem do Claire, choć tutaj podobno chętniej przedstawia się jako Elizabeth”. To jedno zdanie odbija się niczym echo w moich uszach.

Elizabeth. Claire. Elizabeth Claire. To jej drugie imię. Imię, którego używa, gdy...

Mam wrażenie, jakby wszystkie kolory odpłynęły z mojej twarzy. Ręce nagle stają się wiotkie i nijakie. Oddycham ciężiej.

Ona mi o tym powiedziała, bo wiedziała, że to nastąpi. Wiedziała, że przyjdzie moment, w którym dowiem się prawdy. To dlatego po prostu stała. To dlatego nie zareagowała. Bo się, kurwa, bała...

Słyszę za sobą klaksony, które pobudzają mnie do życia. Nie myśląc więcej, wciskam pedał gazu i ruszam przed siebie. Straciłem trzy dni na ćpanie i przez to przegapiłem coś tak ważnego. Parker bała się Omara. Bała się, a ja ją zostawiłem. Jestem głupi. Tak, kurewsko głupi.

Nie mam pojęcia, jak ani kiedy docieram pod dom. Gdy gaszę silnik, od razu wysiadam z samochodu i idę do środka z nadzieją, że u niej wszystko w porządku.

Spierdoliłem. Tak bardzo, kurwa, zjebałem.

„Czy uważasz, że jeśli postępujemy źle, ale jednocześnie dzięki temu chronimy kogoś, na kim nam zależy, zasługujemy na potępienie?” — zapytała mnie w ten pierdolony wtorek.

Ona nie mówiła wiele, gdy rozmawialiśmy nocami, ale gdy już to robiła, wiedziałem, że jest to ważne. Cholera, wszystko, co opuszcza jej usta, jest dla mnie ważne, ale wtedy był naprawdę słaby dzień. Odebrałem ją zapłakaną ze szpitala, a ona powiedziała mi właśnie te słowa. Niewiele z tego wszystkiego rozumiem, ale mam przeczucie, że mnie potrzebowała, a ja zachowałem się jak dzieciak i wyszedłem, zostawiając ją z tym człowiekiem.

Coś jej zrobił? Dlaczego za niego wyszła? To wszystko jest zajebiste zagmatwane.

Otwieram drzwi. Nie myślę nawet o zdejmowaniu butów. Wchodzę po prostu do kuchni, gdzie siedzi Josephine, a naprzeciwko niej Jonathan. Rozmawiają o czymś, a gdy orientują się, że stoję w wejściu, z ust ciotki wydobywa się coś na kształt szlochu.

— Boże Świąty! — mówi Jo i zakrywa usta dłonią. Widzę, że płacze. Podchodzi do mnie, a już chwilę później jestem w jej ramionach. Nie odwzajemniam uścisku, ale chyba jej to nie przeszkadza. — Gdzieś ty się podziewał?! — pyta rozżalona.

— Musiałem pomyśleć.

— Tak trudno było dać jakikolwiek znak życia?! — Surowy ton Jonathana sprawia, że unoszę brwi w zaskoczeniu.

— Tak trudno było nie kłamać? — Odbijam piłeczkę, a jego mina rzednie. — Wiedzieliście? — wypalam. Moje pytanie wywołuje ich konsternację, dlatego precyzuję: — Wiedzieliście, że ona ma męża?

Czekam na cokolwiek, co sprawi, że nie poczuję się w tym wszystkim tak bardzo samotny i oszukany, ale to nie nadchodzi. Oni po prostu stoją, blednąc na moich oczach.

Wiedzieli o wszystkim i nic mi nie powiedzieli.

Zostałem sam.

— Chase, my...

— Po prostu się, kurwa, zamknij — mamroczę pod nosem do Jona i przecieram twarz dłońmi.

Oszukali mnie. Wszyscy. Jonathan, Josephine, Parker i może nawet Caroline. Mam jednak nadzieję, że chociaż ona była ze mną szczerą.

Ściskam palcami nasadę nosa, próbując złożyć jakoś myśli. Poddaję się. Nie mam teraz ani czasu, ani ochoty na użeranie się z nimi, dlatego

robię obrót na pięcie i ruszam w stronę wyjścia. Kiedy jestem już przy framudze, coś sobie przypominam.

— Kim jest Dominic Warren? — pytam i patrzę na nich przez ramię. — Albo dobra, kurwa, nieważne. Lepiej nie mówcie, bo w tej kwestii jeszcze też mnie okłamiecie, a mam już po dziurki w nosie tych wszystkich gównianych tajemnic — rzuca na odchodne i mijając co drugi stopień, wchodzi na górę.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tym jednym zdaniem wywołałem burzę.

Gdy zatrzymuję się przed jej pokojem, czuję, jakby serce miało wyskoczyć mi z piersi. Jest za tymi pieprzonymi drzwiami, zaraz ją zobaczę i nie wiem, czego powinienem się spodziewać. Z wiadomości od tych na dole wiem, że nie jadła, nie piła i tylko było słyhać, jak wymiotowała. Przeraża mnie myśl, co tam zastanę. Jestem jednak świadomy tego, że właśnie tutaj powinienem teraz być.

Chwytam za klamkę i biorę głęboki oddech, po czym wchodzi do pomieszczenia, które znam już na pamięć. Z lewej łóżko i szafa, z prawej komoda, drzwi po skosie, biurko, lampa, stoliki nocne, dywan i... *Zamarłem.* Ona.

— Cześć — mówię, zanim jestem w stanie się powstrzymać.

Siedzi tam. Skulona na parapecie patrzy w okno. Ma na sobie dokładnie tę samą bluzę, co w sobotę. Spodni też nie zmieniła. Widzę, jak spina się na dźwięk mojego głosu. Mija dłuższa chwila, zanim obraca powoli głowę i przysięgam, że gdy w końcu widzę jej twarz, mam ochotę sam sobie strzelić w mordę.

Wygląda źle. Tak bardzo źle.

— Podobno nie jesz i nie wychodzisz z pokoju — odzywam się, choć, kurwa, nie to chciałem powiedzieć. Czuję gulę w gardle, gdy na nią patrzę. — Musisz jeść — dodaję pewniejszym głosem i zaciskam szczękę.

Nie odpowiada.

Jestem pewien, że po tej kilkudniowej głodówce straci kilka kilogramów. Już wcześniej była szczupła, więc tym bardziej nie wygląda to dobrze. Pod oczami ma szare kręgi. Jest blada i bez wyrazu. Kompletnie nie przypomina pyskatej dziewczyny, którą była jeszcze tydzień temu.

Milczy, dlatego podchodzę do niej. Widzę, jak jej oczy z każdym moim krokiem powiększają się bardziej i bardziej. Wygląda na zupełnie zbitą z tropu i kurwa, sam nie wiem, co tak naprawdę robię. Im

dłużej o tym myślę, tym bardziej odnoszę wrażenie, że nie wszystko jest takie, jakie się wydaje. Że słowa, które powiedziała, nie są przypadkowe. Że ona naprawdę nazywa się Elizabeth. Że za tym kryje się coś więcej.

Może wyjdę na idiotę. Może znowu się sparzę. Może będę żałował, ale to nieważne. Jestem takim naiwnym skurwysynem, który w momencie, gdy mu na kimś zależy — robi dla tej osoby wszystko, a nawet więcej. Jestem tego świadomy. To moja największa słabość.

Wyciągam do Parker rękę, kiedy ta ciągle na mnie patrzy. Nie wiem, co czuję, ale wiem, co muszę zrobić.

— Chodź — mówię tylko.

Dzikim wzrokiem bada moją twarz. W końcu przyjmuje moją dłoń i pomagam jej wstać. Jest słaba. Ledwie stoi na nogach, przez co nie umiem racjonalnie myśleć, bo ten widok rozbraja mnie zupełnie.

Oplatam jej rękę wokół swojego ramienia. Idę w stronę łazienki, cały czas czując na sobie jej spojrzenie. Nienawidzę tego, że tak bardzo na mnie działa. Że gdy na mnie patrzy, czuję się bezradny i bezsilny. Nie umiem tego wyjaśnić. Wystarczy, że nasze oczy choćby przypadkowo się spotkają, a ja już nie mam bronii ani tarczy, żeby się ochronić. Po prostu stoję przed nią i pozwalam, aby zrobiła ze mną to, na co tylko ma ochotę. Nigdy w życiu tak się nie czułem. Nikt nigdy nie sprawił, by mój umysł zaczął tak wariować.

Im bardziej starałem się trzymać od Ciebie z daleka, tym mocniej mnie do Ciebie ciągnęło.

W łazience wymacuję ręką włącznik światła i wchodzę do środka. W mojej głowie roi się od pytań, ale wiem, że muszę się powstrzymać. Nie chcę jej męczyć, gdy jest w takim stanie.

Parker staje naprzeciwko mnie. Widzę, jak przełyka ślinę, chociaż jej oczy teraz nie wyrażają już nic. Często takie są. Mam na myśli: ni-jakie, zmęczone i bez wyrazu. To chujowe. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co przeszła w życiu, i teraz żałuję, że nigdy nie próbowałem dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

— Doprowadzimy cię do porządku, dobrze?

Przez twarz dziewczyny przechodzi szok, który szybko maskuje. Ona zawsze tak robi. Zawsze ukrywa uczucia, ale ja je wyłapuję. To takie proste. Parker jest beznadziejnym kłamcą w tych sprawach.

— Mogę? — Spuszczam wzrok na bluzę, którą ma na sobie, po czym wracam do oczu.

Gdy uzyskuję pozwolenie w postaci kiwnięcia, chwytam dół materiału i sprawnie przeciągam go przez głowę. Unosi ręce, żeby mi pomóc. Szybko znów opadają bezwiednie, jakby nie była w stanie utrzymać ich dłużej w powietrzu. Kurwa.

Szare tęczyówki niezmiennie mnie obserwują. Teraz widzę w nich niezrozumienie. Nie wie, co się dzieje. Jestem pewien, że się tego nie spodziewała. Ja sam się tego nie spodziewałem. Nie planowałem tego, jadąc tutaj, ale oto jestem z nią, w naszej łazience. Zawsze robię przy niej rzeczy, których nie miałem w zamiarze. Zawsze coś odwałam i dopiero po chwili orientuję się, że to zrobiłem. To popieprzone.

Nie wiem, jak daleko mogę się posunąć. Mam nadzieję, że nie czuje się niekomfortowo z moim dotykiem, ale jednocześnie boję się zapytać. Przeraża mnie odpowiedź, która może opuścić jej usta. Kiedy tutaj jechałem, wszystko wydawało się proste, a teraz — nie wiem już nic. Zawsze tak jest. Za każdym jebanym razem, kiedy ona jest obok mnie.

Nie odrywając wzroku od jej pustego spojrzenia, nachylam się w jej stronę, palcami sięgając do rozpięcia stanika. Wargi Parker są spierzchnięte i wysuszone. Ona chyba naprawdę od czasu mojego wyjścia nie miała nic w ustach. Są wręcz sine. Co, do chuja, wydarzyło się, gdy wyszedłem? Dlaczego nic nie mówi? Mam tak wiele pytań.

Gdy biustonosz ląduje na podłodze, zniżam się do poziomu jej bioder. Najdelikatniej, jak tylko potrafię, rozpinam spodnie i zsuwam je aż do kostek. Nie rusza się. Jakby nie żyła. Jakby to, co się dzieje, nie miało znaczenia.

— Do góry — instruuję cicho.

Dziewczyna wykonuje moje polecenie automatycznie. Przeraża mnie to, jak niewzruszona jest. Nie poznaję jej kompletnie. To nie jest Parker, którą znałem.

Podnoszę się z kolan, żeby znów spotkać jej spojrzenie. Niby na mnie patrzy, ale mam wrażenie, że myślami jest w innym świecie. Jej wargi są lekko rozchylone, a oczy duże i puste. Tak kurewsko puste i szare. Nienawidzę, kiedy takie są.

Podchodzę do deszczownicy i odkręcam wodę. Przez chwilę trzymam pod nią rękę, żeby ustawić odpowiednią temperaturę. W tym

czasie patrzę przez ramię na dziewczynę i widzę, że się nie rusza. Stoi ze wzrokiem utkwionym w lustrze. Mam wrażenie, że równie dobrze mógłby teraz ktoś wejść, a ona by nie drgnęła. Po prostu by stała i patrzyła, przeraźliwie nieżywa za życia. To mnie rozpierała wewnętrznie, bo nie wiem, co zrobić, żeby jej pomóc.

Zbliżam się do niej. Dopiero teraz, w odbiciu, widzę wyraźnie jej ciało. Ma wystające żebra i kościste biodra. W ogóle jej skóra wydaje się o wiele bledsza.

Nasze spojrzenia w końcu spotykają się w lustrze. Przełykam ślinę. Mam wrażenie, że zaczyna do niej docierać to, co się dzieje. Mimo to milczy.

... i wtedy to zobaczyłem.

Nagle na moich oczach tęczęwki Parker zmieniają kolor na niebieski. Tak po prostu. Jakby wcisnęła jakiś magiczny przycisk uruchamiający uczucia.

Strach, smutek i złość. Właśnie te emocje widzę w huraganie, jaki w przeciągu sekundy rozpułtał się w jej żalonym spojrzeniu. Nadal nic nie mówi. Nie musi. Ta cisza mnie ogłusza. Wrzeszczy w moje uszy, paraliżując mnie. Lizzy wygląda jak małe dziecko, kiedy tak na mnie patrzy. Jakby zgubiła się i szukała rodziców w tłumie. Chcę pokazać jej, że tu jestem, że może czuć się bezpieczna. Ale ona wydaje się nie widzieć ręki, którą do niej macham w morzu ludzi. Jestem jednym z setek innych, a ona jest za mała, żeby mnie dostrzec.

— Chodź. — Tylko tyle potrafię z siebie wydusić. Nienawidzę tego, jaki przy niej jestem. Teraz, kiedy widzę ją w takim stanie, jest jeszcze gorzej. Czuję, że spadam w pierdoloną przepaść i nie mogę się niczego złapać. Nie chcę tego. Ktoś musi ją uratować. Ktoś musi jej pomóc, żeby i ona nie spadła.

Nie wiedziałem wtedy, że spadnę na dno po to, żeby złapać Ciebie. Że potłamsz mnie, ale przynajmniej będziesz bezpieczna. Że uratuję Cię tak, jak Ty mnie niejednokrotnie.

Jej nogi wleką się ociężale, gdy idzie w stronę kabiny. Nie jadła trzy dni. Trzy pierdolone dni nie miała nic w ustach. Jak bardzo źle jest? Przez jakie gówno przeszła ta dziewczyna? „Kiedyś chciałam ze sobą skończyć” — powiedziała jednej nocy. Chciała coś sobie zrobić, a ja nie dociekałem. Powinienem był dociekać. Było coś jeszcze. Pamiętam,

jak mówiła, że poza sytuacją z jej byłym chłopakiem była sprawa, która zaważyła na jej wyjeździe do Crosby. Czy to właśnie o Omara wtedy chodziło?

Parker zatrzymuje się przy kabinie, tępo wgapiając się w lejącą się z deszczownicy wodę. Jest zgarbiona, jakby na plecach miała coś ciężkiego. Za jej pozwoleniem pozbywam się ostatniej części bielizny, jaką ma na sobie. Jest naga, ale tylko dosłownie. Tak naprawdę ma na sobie warstwy pancerza, zasłania się i oddziela murem.

Pomagam dziewczynie wejść do środka. Teraz znowu jej oczy są szare. Znowu zamknęła się w swoim świecie, do którego nie mam dostępu. Podwijam rękawy. Biorę gąbkę i płyn, kiedy ona stoi i patrzy przed siebie. Jest zniszczona. Tak kurewsko zniszczona przez życie.

Nie skupiam się już na jej oczach, ale na tym, żeby dokładnie wymyć jej ciało. Nie rusza się, kiedy to robię. Nie robi nic, kiedy przejeżdżam gąbką między udami, w okolicach piersi czy kolan. Dopiero gdy nasze twarze są na takiej samej wysokości, widzę, jak przełyka ślinę. Bez słowa dotykam jej ramion i obracam ją tyłem do siebie. Włosy ma już mokre, dlatego je też myję. Woda pryska mi po ubraniach, ale mam to gdzieś. Przejeżdżam po jej plecach, masuję palcami głowę... Robię te wszystkie rzeczy i nie spotykam się z żadną reakcją.

Kiedy stwierdzam, że zrobiłem już wszystko, zakręcam wodę. Na jej ciele od razu tworzy się gęsia skórka. Jest jej zimno, dlatego biorę pierwszy lepszy ręcznik i ją nim owijam. Niczym małe dziecko chwytam ją w pasie i znowu ustawiam na dywanie, obok kabiny. Teraz patrzy prosto na mnie. Obserwuje mnie swoim dzikim spojrzeniem. Mam wrażenie, jakby za chwilę miała się zerwać i uciec najdalej, jak się da. Jest przestraszona, a ja nie wiem dlaczego. Biorę w palce mokre kosmyki, które opadają na jej czoło, i zakładam je za ucho.

— Zaraz przyjdę — mówię tylko.

Nie oczekuję odpowiedzi, dlatego idę do jej pokoju. Wyszukuję w szafie parę szarych dresów i luźną koszulkę. Staram się zrobić to dość szybko, bo teraz pewnie marznie w łazience.

Kiedy wracam, ona nadal tam stoi. Wydaje się zamyślona i dopiero w momencie ponownego zamknięcia drzwi wraca na ziemię. Odtąd jej wzrok towarzyszy mi już cały czas. Poczynawszy od suszenia ciała, przez suszenie włosów, aż do chwili, kiedy pomagam jej wcisnąć ręce w bluz-

kę. Wyjmuję z szuflady szczotkę i gumkę. Parker przesuwam się na wprost lustra, a ja stoję za jej plecami. Najdelikatniej, jak tylko potrafię, wyczesuję blond włosy, a później biorę się do zaplatania warkocza. Lubię ją w takim wydaniu i jest to w sumie jedyna fryzura, jaką umiem robić, bo nauczyła mnie tego Caroline, kiedy byłem jeszcze gówniarzem.

W mojej głowie panuje pierdolony chaos. Staram się odrzucić to wszystko w kąt i skupić się na niej. Na jej spojrzeniu, ciele, twarzy i włosach. Serce bije mi szybciej, kiedy moje palce dotykają niechcący jej szyi, a ona cicho wzdycha. To pokurwione, bo tak naprawdę nie zrobiła nic wielkiego, ale dobrze wiedzieć, że gdzieś tam jeszcze jest. Że nadal żyje i reaguje na to, co dzieje się wokół niej.

— Chodź — mówię znowu, kiedy odkładam szczotkę na zlew.

Otwieram drzwi do jej sypialni. Czuję zapach truskawkowego szamponu w momencie, gdy mnie mija.

Wchodzę za nią do pokoju i podchodzę do łóżka. Odsuwam kołdrę, pod którą Parker sprawnie się wślizguje. Opiera się plecami o wezgłowie i zaczyna bawić palcami. Całkowicie poświęca im swoją uwagę. Stresuje się. Zawsze tak robi, kiedy jest nerwowa.

— Pójdę po coś do jedzenia i to zjesz, jasne? — pytam, chociaż brzmi to raczej jak stwierdzenie.

Dziewczyna unosi na mnie swoje niebieskie oczy, a ja zaciskam szczękę. Pojebane, ale gdy tak na nią patrzę, jedyne, co mi przychodzi do głowy, to przytulenie jej. Chciałbym to zrobić, jednak jednocześnie coś mnie powstrzymuje.

Nie spodziewając się jakiegokolwiek reakcji, ruszam w stronę drzwi.

— Shaw — odzywa się nagle, a ja zastygam w pół kroku na jej zachrypnięty, cichy głos. Przez chwilę stoję w bezruchu, aż w końcu decyduję się na nią spojrzeć.

„Kiedyś, gdy byłem dzieckiem, mój ojciec powiedział mi, że jeśli poczuję zagrożenie, a ktoś spyta o to, kim jestem, mam przedstawić się swoim drugim imieniem, czyli, Claire...”, „Za kilka lat prawdopodobnie uratuje mi to życie. Kiedyś na pewno ci o tym opowiem...”, „Kiedyś chciałam ze sobą skończyć...” Wszystkie te słowa niezmiennie bombardują moją głowę.

— Wiem — mówię tylko, podświadomie wiedząc, co chciała powiedzieć. Wychodzę z pokoju.

Oczywiście, że wiem. Wiem, że chciała wyznać prawdę już wcześniej, ale przez te trzy dni na hajcu byłem za bardzo wycięty z życia, żeby cokolwiek zrozumieć. Byłem wkurwiony, bo nic nie pojmowałem. To dlatego nie pomyślałem o powodach jej milczenia.

Schodzę na parter, do kuchni, gdzie siedzi Josephine. Ignoruję jej obecność, bo nie mam ochoty na jakąkolwiek rozmowę. Podchodzę do lodówki i wydaję z niej wszystkie produkty. Czuję na sobie wzrok ciotki. Obserwuje każdy mój ruch, zaczynając od krojenia pomidora, a kończąc na parzeniu herbaty.

— Co? — pytam oschle, kiedy zalewam kubek wrzątkiem. Wkurwia mnie to, że się gapi i nic nie mówi. Równie dobrze mogłaby się zająć sobą.

— Możemy porozmawiać?

— A mamy o czym? — Wsympuję dwie łyżeczki cukru do jakiegoś ziołowego gówna, które wygrzebałem z szafki.

Josephine wzdycha na moje słowa. Słyszę, że wstaje i gdzieś idzie.

— Myślę, że trochę się tego nazbierało. — Jej głos nagle się zmienia, dlatego unoszę głowę.

Jest błada. Kurewsko błada.

— Dobrze. — Mieszam sztućcem w kubku i w międzyczasie badam jej reakcję. — Od czego zaczniemy? Od Dominica Warrena? Omara? Czy może tego gówna o jakichś siostrach?

Jo patrzy na mnie zamglonym wzrokiem.

— Chodzi o to, że...

Nagle do moich uszu dociera donośny huk z góry. Ze zmarszczonymi brwiami patrzę na równie skonsternowaną ciotkę. Odstawiam szybko kubek na blat, przez co jakaś część herbaty rozlewa się, parząc mi ręce. Klnę pod nosem i biegnę szybko w stronę schodów. Przeskakuję po dwa stopnie, a za plecami słyszę, że Josephine idzie za mną. Wchodzę do pokoju, w którym jest pusto. Na podłodze leży tylko potłuczona lampa nocna. Drzwi do łazienki są szeroko otwarte. Ruszam w tamtym kierunku.

— Kurwa, Lizzy. — Podbiegam do toalety, nad którą klęczy. Nie myśląc wiele, przejeżdżam otwartą dłonią po jej czole, żeby zebrać kosmyki, które wysunęły się z warkocza i opadają na twarz. Dziewczyna dusi się, kurczowo trzymając muszlę. Kładę rękę na jej plecach i lekko masuję kark. Nie wiem, co innego mógłbym dla niej zrobić. — Lepiej?

Parker unosi głowę i patrzy tępo przed siebie. Zwymiotowała żółcią. Ze związanym w supeł żołądkiem obserwuję, jak palcami przeciera łzy, które z tego wszystkiego nagromadziły się w jej oczach. Kiedy w końcu na mnie zerka, mruży oczy i uśmiecha się dziwnie. Zamieram. Znam to spojrzenie.

Patrząc na Ciebie tamtej nocy, zrozumiałem, jak bardzo źle jest.

Przysmykam oczy, żeby pozbierać jakoś myśli. Prawie się przewracam, kiedy nagle para chudych rąk owija się wokół mojej szyi. Lizzy wtula się we mnie mocno, a ja dębieję, gdy czuję jej dotyk. Z każdą sekundą coraz bardziej zacieśnia uścisk. Gdy dociera do mnie, co się dzieje, przyciskam ją do swojej klatki. Do moich nozdrzy dochodzi zapach whisky.

Kiedy ją wypuściła? Przecież nie było mnie mniej niż dziesięć minut. Jakim cudem zdążyła się tak szybko upić?

— Przyniesiesz do mojego pokoju herbatę i jedzenie? Jeśli nie zje, będzie tak wymiotowała bez końca — proszę ciotkę, pomijając fakt, że Lizzy jest wstawiona. Jo nie musi tego wiedzieć.

Ciotka stoi w drzwiach, nie kryjąc szoku. Dość długo trawi moje słowa, ale w końcu znika za ścianą.

— Pójdziemy do łóżka, okej? — pytam, a dziewczyna kiwa głową.

Nie wiem, jak mi się to udaje, ale podnoszę się z kolan z Lizzy na swojej szyi. Chwytam ją pod udami i lekko podrzucam, żeby lepiej mi się ją niosło. Kiedy jestem w swojej sypialni, podchodzę do łóżka i siadam na nim. Dziewczyna wtula się we mnie mocniej. Przez dłuższą chwilę trwamy w tej pozycji, milcząc do momentu, aż Josephine wraca z herbatą i kanapkami, które zrobiłem.

Parker sama w końcu schodzi z moich kolan i wsuwa się pod kołdrę. Spuszcza głowę i patrzy na swoje palce, którymi się bawi.

— Pójdę posprzątać szkło, żeby nikt się nie pokaleczył — mówi ciotka niepodobnym do normalnego głosem.

— Proszę. — Ustawiam talerz na udach blondynki.

Dziewczyna przygląda mu się dłuższą chwilę.

Przełykam ślinę. Organizm Parker jest wycieńczony, ale musi coś zjeść, żeby nie było jeszcze gorzej niż wcześniej. Już teraz jest tragicznie, a jeśli kolejny dzień będzie się głodzić, sprawy skomplikują się jeszcze bardziej.

Podaję Elizie kubek z parującą herbatą, żeby rozgrzać jej żołądek. Przyjmuje go o wiele chętniej, właściwie bez problemu. Mam ochotę

odetchnąć z ulgą, kiedy słyszę ciche siorbanie. Dzięki temu w końcu widać lekkie rumieńce na jej policzkach, a ona wreszcie decyduje się coś zjeść. Mało, bo mało, ale ważne, że w ogóle.

— Już nie mogę — stwierdza po kilku gryzach.

— Okej. — Zabieram od niej talerz i odstawiam go na szafkę. — Dopij jeszcze to, co zostało.

Moja głowa paruje od natłoku myśli. Pytań mam coraz więcej, ale nie chcę w tej chwili obciążać nimi Lizzy. Jest w totalnej rozsypce. Była w niej przez trzy ostatnie dni, podczas gdy ja, kurwa, siedziałem naćpany u Logana.

Przez chwilę obserwuję dziewczynę, która co chwilę zaciska szczękę. Zastanawia się nad czymś intensywnie i już mam o to zapytać, kiedy nagle zabiera głos.

— Wszystko zaczęło się zeszłego lata. Poszłam do biura mojego ojca. Rzadko tam bywałam, ale co jakiś czas wpadałam, tak po prostu — prawie szepcze.

W moim gardle formuje się gęśl. „Czy ona upiła się po to, aby mi powiedzieć?” — zastanawiam się.

— Nigdy nie pukałam. Tamtym razem było tak samo. Po prostu weszłam, a... a tam siedział on.

— Jaki on? — Marszczę brwi.

Lizzy unosi na mnie puste spojrzenie.

— Frank Rumeli — mówi cicho, jakby było to wielką tajemnicą.

Sposób, w jaki wypowiada imię i nazwisko tego mężczyzny, sprawia, że mój żołądek znów zaciska się w supeł. Nawet go nie znam, ale już wiem, że nie będzie to pozytywna postać w tej historii.

— Kim jest ten człowiek?

Wzrok Elizy błądzi po pokoju. Mam wrażenie, że jej myśli są równie pomieszane co moje i że nie wie, jak w ogóle złożyć zdanie.

— On... Mój ojciec był zadłużony na duże pieniądze u niewłaściwych ludzi — wyjaśnia. Bierze głęboki oddech i kontynuuje: — Nie miałam pojęcia. To właśnie z jednym z nich naszłam go tamtego dnia w biurze. — Waży każde słowo. Widzę to. — Właśnie wtedy poznałam Franka. Pamiętam dokładnie. Nie podobał mi się od samego początku, dlatego kiedy zapytał o moje imię, przedstawiłam się jako Claire. Tata zawsze...

— Kazał używać ci tego imienia, kiedy poczujesz zagrożenie — kończę za nią, na co kiwa tylko lekko głową.

— Tak. Nie myślałam się, bo chwilę później Frank wyskoczył z propozycją. — Jej głos drży coraz bardziej, a ja czuję, jak moje serce mocniej obija się o żebra. — Zaproponował cofnięcie długu w zamian za przysługę. — Przymyka na moment oczy. Wiem, co za chwilę powie.

— Musiałas poślubić Omara... Ale dlaczego? Co on ma z tym wszystkim wspólnego?

— Omar jest jego bratankiem, który nielegalnie przebywał w Ameryce. — To ma sens. — Wykryto u niego nowotwór i konieczna była, a raczej nadal jest, kraniotomia. Nikt, a szczególnie najlepszy specjalista w kraju, za żadne pieniądze nie zgodził się na przeprowadzenie tak ryzykownego zabiegu bez odpowiednich dokumentów. Wielu lekarzy rezygnowało ze strachu. Bali się, że jeśli coś pójdzie nie tak, skończą z kulką w głowie. Omar jest jedyną rodziną Franka. To taka jego słabość.

— I twój ojciec się na to zgodził? — Nie potrafię nie unieść brwi.

— Nie, oczywiście, że nie. Od razu odrzucił jego propozycję.

— Więc jak do tego doszło, że za niego wyszłaś?

Może i zadaję za dużo pytań, ale kurwa, naprawdę staram się to zrozumieć.

— Niedługo po tym spotkaniu mój ojciec miał zawał. — Wspominała o tym. Pamiętam, jak prosiła, aby nie mówić mu o sytuacji z Blaze'em, bo Terence jest w złym stanie. — Podupadł na zdrowiu, więc i firma na tym ucierpiała. Miał problem ze spłacaniem wszystkiego, w tym długów u Franka Rumelego. Zaczęli dopominać się o pieniądze, których nie mieliśmy, dlatego to załatwiłam. — Wzrusza ramionami, a jej wzrok znów pada na palce. — Odnalazłam go i zgodziłam się na wszystko. Mój ojciec o niczym nie wiedział. Powiedziałam mu o tym, kiedy podpisałam umowę.

Ona zrobiła to dla swojego taty. Chciała pomóc ojcu, który miał długi. Poświęciła tak wiele, bo on był, kurwa, chory. Wyszła za Omara dla niego. Ja pierdolę.

— Załamał się, to chyba jasne, ale nie było już odwrotu — mówi spokojnie i to tak bardzo mnie zadziwia. — Jedyne, co mógł zrobić, to pomyśleć o mojej przyszłości. Właśnie dlatego zmienił w papierach moje imię na Claire. On po prostu... kiedy już dojdzie do... rozwodu...

Po prostu nie chciał, żebym była kojarzona jakkolwiek z tamtym światem. Omar i Frank i tak znali mnie jako Claire, bo właśnie tak im się przedstawiłam. To ułatwiło sprawę.

— Więc dlaczego tutaj posługujesz się swoim prawdziwym imieniem? Jakby... masz w papierach Claire, tak?

Zaczynam się trochę gubić.

— Ojciec jest prawnikiem. Ma znajomości nawet tutaj, więc nie było problemu z zatuszowaniem tego, że zmieniałam swoje imię. Chciał, aby na wszelki wypadek... żeby mnie nie znalazł. Cóż, nie udało się, bo wytropił mnie już tydzień później. — Śmieje się gorzko, kiedy próbuję ułożyć sobie to wszystko w głowie. — Dokładnie to samo zrobił w Ameryce, aby nikt nie zadawał pytań. Normalnie autentyczność takiego małżeństwa jest sprawdzana, ale on to jakoś załatwił. Nawet nie wnikałam. Chciałam po prostu uciec jak najdalej — mówi obojętnie.

Patrzę na nią i nie potrafię, kurwa, nic powiedzieć. Jest tutaj, bo uciekała przed życiem, które ją zniszczyło. Uciekała przed pierdolonym Omarem. Przez cały ten czas robiła dobrą minę do złej gry. Chciała chronić swojego ojca, ale tym samym wykańczała siebie.

— Próbowалам ci powiedzieć... — Jej głos drży, kiedy znów się odzywa. — Ale za każdym razem brakowało mi odwagi. Najpierw bałam się, że nie zrozumiesz. Później przerażała mnie myśl, że jeśli dowiesz się o tym przed walką, prawda cię przygniecie. Nie chciałam, żebyś był rozproszony, ale Omar mnie wyprzedził.

Mam wrażenie, jakby powietrze w pomieszczeniu znowu zgęstniało. Kurwa. Ta dziewczyna wzięła za dużo na swoje barki. Nawet nie umiem sobie wyobrazić, co musi czuć. Jest młoda, powinna cieszyć się życiem, a tymczasem ucieka przed swoim pierdolonym mężem.

Nienawidzę kłamstw. Brzydzę się nimi, ale jak mam się na nią złościć za to, że chciała dobrze? Jestem pewien, że sam na jej miejscu zrobiłbym to samo, gdyby chodziło o Josephine. Ja pierdołę, prawda jest taka, że zrobiłbym to bez wahania.

— Jest tylko coś, czego w tym wszystkim nie rozumiem — wyznaje, a ja marszczę brwi.

— Toaczy?

Parker unosi na mnie swoje niebieskie oczy.

— Oni cię znają, Chase. Znają Josephine — mówi cicho. — Mam straszny bałagan w głowie i nie potrafię pozbierać wszystkich faktów w całość. Wszystko mi się miesza, ale ja dostałam list...

— Jaki list?

Co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Nie znam żadnego Omara, Franka ani nikogo takiego. Nigdy nie miałem styczności z tymi ludźmi.

Parker odsuwa kódrę. Pomagam jej wstać. Gestem pokazuje, że bym poszedł za nią. Garbi się, a jej kroki są ociężałe. To jasne, że minie trochę czasu, zanim wróci do siebie. Jest wycieńczona i słaba po tym wszystkim, co działo się w ostatnim czasie.

Wchodzimy do jej pokoju. Dziewczyna zapala światło. Ogólnie jest tutaj czysto, ale strasznie wali alkoholem. Widzę pustą butelkę przy łóżku, pewnie to właśnie ją opróżniła, kiedy byłem na dole.

Podchodzimy do komody, w której blondynka zaczyna grzebać. Kiedy ma już to, czego szukała, odwraca się do mnie, a jej ręce drżą. Nie bardzo rozumiem dlaczego i zaczyna mnie to trochę niepokoić.

— Dostałam go w sobotę. — Widzę, jak przełyka ślinę w stresie.

Odbieram od niej zwitek i rozwijam papier. Co jest, do chuja?

— Skąd masz to zdjęcie?

Znam je. Theresa ma takie w albumie. Pamiętam, że kiedyś zapytałem ją, kto to jest. Powiedziała, że ja i dzieci przyjaciół moich rodziców. Nie pytałem o nic więcej, bo niby po co?

— Odwróć.

Rzucam jej szybkie spojrzenie, a później spuszczam wzrok i robię, co każe.

„Pierwsze święta Aidena, Chase’a i Elizabeth. Pierwsze święta Aidena, Chase’a i Elizabeth. Pierwsze święta Aidena, Chase’a i Elizabeth. Pierwsze święta...”

— Na fotografii jestem ja, jesteś ty i... Aiden, mój przyjaciel — wyjaśnia, kiedy tępo patrzę na zdjęcie.

— Co ty tam robisz? — To jedyne, o co potrafię zapytać po długim milczeniu. Nic z tego nie rozumiem.

— Chase, on nazwał cię Warrenem. To nazwisko Aidena, a ty jesteś na fotografii — mówi, ignorując moje słowa. Sama jest wyraźnie skołowana.

Mam wrażenie, jakby ktoś strzelił mi w mordę.

Jakim, do chuja, Warrenem? Jestem Chase Shaw. Wcześniej nazywałem się Chase Clarke. Nie mam żadnego powiązania z Warrenami — kimkolwiek oni, kurwa, są. Jo nigdy mi nie wspominała o żadnym Warrenie. Powiedziała by mi, gdyby wiedziała, że znam Elizę, prawda? Na pewno nie wiedziała. To niemożliwe. To nie ma sensu. Powiedziała by mi, prawda? Zrobiłaby to. Jestem pewien.

— Nie, to niemożliwe. — Kręcę głową. Nie ma opcji, żebym miał z tym wszystkim coś wspólnego.

— Na tej fotografii naprawdę jestem ja. Chase, Omar zna Josephine.

Znów na nią patrzę. Wygląda na równie zagubioną. Nic nie rozumie. Ja też nie, bo to nie ma jebanego sensu.

— Myślę, że oboje wiemy, kto zna odpowiedzi na nasze pytania — mówi po chwili ciszy, a jej wzrok pada na drzwi.

Bez chwili namysłu ruszam przed siebie i zostawiam Elizę. Słyszę, że idzie za mną. W ręce cały czas trzymam to pieprzone zdjęcie. To niemożliwe, żebyśmy mieli cokolwiek ze sobą wspólnego. Przecież Jo by mi o tym powiedziała, gdyby wiedziała. Czemu miałyby ukrywać coś takiego? To nielogiczne.

Wchodzę do kuchni. Jon pisze coś na swoim laptopie, a Josephine przeciera naczynia. Patrzy na mnie z niezrozumieniem. Czuję za sobą obecność Parker. Kładę fotografię na wypie, między mną a ciotką, i przysuwam ją bliżej niej. Jo przygląda jej się przez chwilę. Nagle trzymany przez nią kubek roztrzaskuje się na podłodze, a ja znam już prawdę. Nie musi nic mówić.

— Cholera — klnie przestraszony Jon na huk, jaki wywołało tłukące się szkło. — Co jest?

Ciotka patrzy tępo na zdjęcie. Jest w szoku, a kiedy już podnosi na mnie wzrok, mam wrażenie, jakby zaraz miała zemdleć.

— Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? — pytam ostro, gdy ona milczy. Oczywiście, że to robi, no bo, kurwa, co innego miałyby robić. — Zapytam jeszcze raz: kim jest Dominic Warren? I o jakich siostrach mówił Omar?

Przysięgam, że nie wyjdę stąd, dopóki nie dowiem się prawdy.

Warga Josephine drży. Wygląda, jakby za chwilę miała się rozpłakać. W jej oczach widzę tak wiele, że nie jestem w stanie powiedzieć, która emocja w nich dominuje.

— To twój ojciec — szepcze.

Przełykam mocno ślinę.

— Kim więc jest Dominic Clarke?

Ciotka opiera się rękami o blat i spuszcza na niego wzrok, jakby starała się zebrać wszystkie myśli w całość. Zaciska mocniej powieki i wzdycha ciężko.

— Nikt taki nie istnieje.

Zastygam w bezruchu.

— Jak to, kurwa, nie istnieje? — Akcentuję drugie słowo od końca. — Jak to, kurwa, nie istnieje?! — Unoszę się i widzę, że Jo się wzdryga. — Dominic Clarke to mój ojciec, który został przygnieciony przez samochód. Od dzieciaka jeździłem na jego grób i zostawiałem jemu i matce kwiaty. Ty też tam, kurwa, byłaś, więc nie wpieraj mi, że ktoś taki nie istnieje! — Moja klatka unosi się szybko.

Nagle czuję na sobie dotyk Parker. Jej chude palce lekko przejeżdżają po moich plecach.

— Kochanie, ja...

— Wyjaśnij mi to! — Uderzam dłonią o blat.

Czuję, jak szczeka mi drży od siły, z jaką ją zaciskam. Nic z tego nie rozumiem. Jo nie mogła mnie okłamać w takiej kwestii. Mój ojciec zginął czternastego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku. Został przygnieciony przez samochód, bo był mechanikiem. Nazywał się Dominic Clarke, a nie Dominic Warren. To na jego grób jeździłem przez te wszystkie lata.

Po policzkach ciotki zaczynają spływać łzy. Nie mam nastroju na pocieszenie jej. Ma mi to wyjaśnić, bo nic nie rozumiem. Widzę, że Jonathan próbuje ją uspokoić — nie mnie. Jakby też doskonale o wszystkim wiedział. Jakby nie był zaskoczony moją reakcją i tym, że o to pytam. Ja pierdołę.

— Clarke to nazwisko twojej matki, a mojej siostry. Warren to nazwisko twojego ojca. Nigdy nie było żadnego wypadku w pracy. Nikt z naszej rodziny nigdy nie zginął w sposób, o jakim ci mówiłam. Wymyśliłam to — szlocha, kiedy ja próbuję przetrawić wszystkie informacje.

— Więc co się z nim stało?

— Powiesił się.

Czuję, jak ręka Parker zastyga na moich plecach. Zamykam na moment oczy i oddycham głęboko.

— Powiedz jeszcze, że moja matka nie zmarła na raka, to będzie śmiesznie. — Prycham pod nosem.

Ciotka patrzy na mnie z bólem w oczach. Jest, kurwa, tak widoczny, jak nigdy. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w takim stanie. Trzęsie się z nerwów, a Jon próbuje uspokoić ją tak, jak Lizzy mnie. Ale ja nie zwracam na to uwagi. Nie potrafię, bo jestem skupiony na stojącej przede mną Jo. Kobiecie, która mnie wychowała. Tej, która śpiewała mi przed snem, której przyklejałem plastry, kiedy jej były ją skrzywdził... Kobiecie, która dała mi wszystko, co teraz mam.

— Chase, twoja mama... Lorraine nie umarła.

Po tamtym wieczorze burza rozpętała się na dobre. Nie wiedziałem, że po niej przyjdzie jeszcze huragan, a później nadciągnie coś, na co żadne z nas nie będzie gotowe... Nie byliśmy gotowi. Byliśmy pieprzonymi, zagubionymi dziećmiakami w świecie dorosłych, którzy chcąc nas chronić — okłamywali nas przez lata. Nie zdawali sobie sprawy, że kiedy odkryjemy prawdę, ona nas zniszczy...

Rozdział 2

ELIZABETH

Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak umrę. Nigdy nie szukałam odpowiedzi na to pytanie, bo wiedziałam, że i tak go nie znajdę. Śmierć jest czymś, co przychodzi nagle. Nie da się być na nią przygotowanym. Nawet gdy jesteśmy świadomi nieuleczalnej choroby.

Może i wbijamy sobie do głowy, że lada moment kogoś bliskiego zabraknie. Może i wmawiamy sobie, że jakoś to zniesiemy. Ale prawda jest taka, że gdy ten ktoś umiera, uświadamiamy sobie, że nie byliśmy gotowi, choć przecież wiedzieliśmy, że to nadejdzie. Śmierć, szczególnie bliskiej nam osoby, nie jest egzaminem, na który musimy się przygotować. Tu nie ma regułek do wyuczenia, definicji czy właściwej odpowiedzi. Ona po prostu jest. Przychodzi i zbiera żniwo, pozostawiając pustkę. Nicość, która wyżera nas powoli, boleśnie od środka.

Pamiętam jeden z tych dni, w którym leżałam na dachu u boku Aidena. Wcześniej przeczytałam wiele teorii na temat tego, co jest po śmierci. Rozbieżność zdań tak bardzo mnie zafascynowała, że myślenie o tym skradło sporą część mojego czasu. Sama zaczęłam snuć własne domysły, a że byłam wtedy osobą wierzącą, najbardziej prawdopodobny wydawał mi się podział dusz na te, które trafiają do piekła, i te, które idą do nieba. Rzecz w tym, że moje wyobrażenie tych miejsc różniło się od stereotypowych.

Dla mnie piekło nie było spowite ogniem, jak ukazywały to widzialne przeze mnie obrazy. W moim odczuciu należało raczej do ciemnych

dziur, w których dusza dygotała z zimna, płonąć jednocześnie. Wiem, że dla wielu nie ma to sensu, ale właśnie tak to widzę. Przed oczami mam dwie sprzeczności. To trochę jak gorączka, w której drżymy i pocimy się w tym samym czasie. Staramy się złapać dech, na płucach czujemy ciężar, a wszystko wokół wydaje się zniekształcone. Czujemy wszystko i nic. Nasze myśli mieszają się ze sobą. Palimy się i zamarzamy. Umieramy bez końca.

Niebo natomiast wcale nie kojarzyło mi się z chmurkami, bielą i czystością. Dla mnie nie miało to sensu, choć w rzeczywistości ma go zapewne bardzo wiele. Osobiście widzę je raczej jako łąkę. Jest na niej mnóstwo maków, a ja leżę w ich objęciach. Obok mnie znajdują się ludzie, których kocham. Uśmiechają się. Są szczęśliwi, więc i ja taka jestem. Wokół panuje spokój i harmonia. Nirwana¹.

Otwieram ociężałe powieki, powoli przyzwyczajam się do panującej wokół jasności. Mrugam kilkakrotnie. Gdy wzrok nabiera ostrości, patrzę w biały sufit nade mną. Przez chwilę leżę w bezruchu, starając się pojąć, gdzie się znajduję i jaki mamy dzień. Dopiero kilka, a może nawet kilkanaście minut później w mojej głowie pojawiają się obrazy poprzedniego wieczoru.

Był tutaj. Dlaczego wrócił? Jak bardzo jest mną zawiedziony? Jak bardzo żałośnie musiałam wyglądać, skoro się mną zajął, o nic nie pytając? Nie chciałam, cholera, nadal nie chcę jego litości. Myśl o tym, że to właśnie ona pchnęła go do opieki nade mną, budzi we mnie zażenowanie własną osobą. Wewnętrznie krzyczałam, aby mnie nie dotykał. Nie chciałam czuć jego dłoni na swoim ciele. Nie chciałam, bo wiedziałam, że zaraz ich tam nie będzie i pozostawią tylko chłód na mojej skórze, podczas gdy tak bardzo łaknęłam więcej.

Przekręcam głowę w prawo, wzdychając cicho. Nie ma go. Podejrzewałam, że tak będzie. Czułam, że po milczeniu, które nastąpiło wraz z wyznaniem Josephine i trwało aż do momentu naszego zaśnięcia — on zniknie. Nie potrafię sobie wyobrazić, co musi czuć. Jak bardzo musi cierpieć z myślą, że przez te wszystkie lata żył w zakłamaniu. Każdego roku opłakiwał swoich rodziców, aby po latach dowiedzieć się, że jego matka wcale nie umarła. Nie rozumiem tego. Dlaczego go opuściła?

¹ Nirwana — wolność od cierpienia, stan zapomnienia.

Ostatnie trzy dni spędzone w swoim własnym towarzystwie na parapiece poświęciłam na analizę wszystkiego, co się wydarzyło. Nadal wiele rzeczy nie ma dla mnie sensu, ale mimo to próbuję jakoś to pojąć. Omar zna Josephine i powiedział, że Chase tak naprawdę nazywa się Warren. Aiden również ma takie nazwisko. Wyjaśniałoby to wiele innych spraw z przeszłości. Mam na przykład na myśli kłamstwo mojego ojca, który przez lata wmawiał mi, że Natalie to jego matka.

Wierzyłam w to, choć Aiden zawsze zwracał się do niej po imieniu. Prawdę odkryłam, gdy chłopak złamał rękę. To była głupota, ale wtedy właśnie macocha przyznała przed lekarzem, że jest jego ciotką. Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Gdy poruszyłam ten temat z ojcem — zbył mnie, zostawił bez jakiegokolwiek wyjaśnienia. Jeśli więc Aiden nie był synem Natalie, a Josephine nie była matką Chase’a, mogłoby to oznaczać, że są braćmi. To brzmi niewiarygodnie. W momencie gdy pierwszy raz przeszło mi to przez myśl, miałam ochotę się zaśmiać, ale im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym większego sensu nabierała moja teoria. Wtedy sobie uświadomiłam, że jeśli to jest prawda — bracia zostali rozdzieleni. Pytanie brzmi: dlaczego?

Gdy wracałyśmy z Chawton, Josephine wyznała mi prawdę o ojcu Chase’a. Był zadłużony i się powiesił. Do wczoraj śmierć jego matki przez postrzał wydawała mi się logiczna, ale gdy dowiedziałam się, że nie umarła, zgłupiałam zupełnie.

Nic już nie rozumiem. To dla mnie za wiele.

Wiem, że jest jakaś rzecz, którą pomijam. Staram się przypomnieć sobie słowa, które opuściły usta Omara, ale nie potrafię. Byłam w zbyt dużym szoku, aby zapamiętać to wszystko. Nie spodziewałam się go w domu Shawów, to chyba jasne. Zaskoczył mnie. No i do tego ten list. Zdjęcie, na którym byliśmy ja, Aiden i Chase. Zналиśmy się, ale nie mieliśmy o tym pojęcia. Przynajmniej ja i Chase nie mieliśmy. Co do Warrena mam coraz więcej mieszanych uczuć.

Mam wrażenie, jakby wszystko, co obecnie dzieje się wokół mnie, było tylko złym snem, z którego zaraz się obudzę. W jeden dzień moje życie wywróciło się do góry nogami, choć to nie ja byłam tutaj najbardziej pokrzywdzona. To Chase’owi oberwało się najmocniej. To jego skrzywdziłam kłamstwem, dokładnie tak jak Josephine i reszta. Chciałabym

mu jakoś pomóc, uśmierzyć ból i zakleić każdą ranę, ale nie wiem, od czego miałabym zacząć.

Z przemyśleń wyrывa mnie dźwięk otwieranych drzwi. Przekręcam delikatnie głowę. Moje serce zaczyna mocniej bić, kiedy widzę w nich jego. Stoi tam. Ubrany w czarną koszulkę, bluzę i obcisłe spodnie. Z mokrymi włosami i torbą na ramieniu. W rękę trzyma jakąś reklamówkę.

— Cześć — mówi tylko, pozbywając się sprawnie plecaka.

Kładzie na pościeli papierową siatkę i zajmuje miejsce obok mnie. Jego wzrok skupiony jest na zawartości opakowania. Obserwuję go uważnie. Wygląda tak... normalnie. Jak wczoraj. Tak, wtedy też tak wyglądał, ale teraz jego głowa pełna jest nowych informacji. Mimo to wydaje się dobrze trzymać. Nie rozumiem tego.

— Masz.

Siadam, kiedy Chase wyjmuje z torby burgera i frytki. Kładzie je na moich kolanach.

— Zjedz to i idź się ubierz. Weź też dodatkowe ubrania na jeden dzień.

Patrzę na chłopaka z niezrozumieniem, jednak on nie zauważa mojego spojrzenia. Po prostu zajada się fast foodem i grzebie w swoim telefonie.

— Dokąd jedziemy?

Chase w końcu unosi na mnie wzrok, a rażąca zieleń jego oczu sprawia, że przetykam ślinę. Nie wiem, co się dzieje. Nie lubię nie wiedzieć.

— Najpierw zjedz.

Otwieram opakowanie z kanapką i biorę dużego gryza. Chcę odpowiedzieć. Tylko po to to robię.

— Więc? — pytam z pełnymi ustami, nie potrafiąc pohamować ciekawości.

— Na wycieczkę — rzuca w końcu, ponownie skupiając uwagę na ekranie. — A teraz jedz.

— To znaczy? — dociekam.

Jego spokój mnie przeraża. Jest zbyt cichy. Wolałabym, żeby rzucał przedmiotami, krzyczał, cokolwiek. On jednak sprawia wrażenie nieprzejętego faktem, że jego mama żyje. Zachowuje się tak, jakby wczorajsza rozmowa nie miała miejsca. Ale ona się odbyła. Pamiętam każdy jej szczegół. Dlaczego on tak się zachowuje?

Shaw wyciera ręce w materiał spodni. W trzy minuty pochłonął całą zawartość pudełka, podczas gdy ja wzięłam zaledwie jeden kęs. Chłopak wstaje na nogi z obojętnością wymalowaną na twarzy. Rozgląda się po pomieszczeniu, a jego wzrok pada na szafę.

— Bangor — oznajmia nagle tak, jakby było to najbardziej oczywistą rzeczą na świecie.

Podchodzi do torby, z której wyjmuje spodenki treningowe, i rzuca je gdzieś w kąt. Następnie otwiera szafę, a już chwilę później na podłodze łądują spodnie, bluza i bokserki. Z fast foodem na kolanach bacznie obserwuję jego poczynania. Robi wszystko szybko i naturalnie. Na jego twarzy nie maluje się złość ani smutek. Jest to raczej neutralny wyraz, bardzo przyjemny dla oka. Gdybym nie wiedziała, co wydarzyło się wczorajszego wieczoru, pomyślałabym, że wszystko z nim w porządku.

— Co jest w Bangor?

Czy musi tak to wszystko przeciągać? Czy nie może powiedzieć wprost, o co chodzi?

Brunet znów na mnie patrzy, a jego wzrok pada na moje kolana. Przewraca oczami tak, jak ma to w zwyczaju. Przysięgam, że zaraz zwariuję.

— Skończysz to w samochodzie. — Ignoruje moje pytanie.

To bez sensu. Odsuwam kołdrę i aż się wzdrygam. Bardzo powoli zsuwam się z łóżka. Moje ciało jest obolałe od pozycji, w jakiej spędziłam ostatnie dni na parapecie. Leniwym krokiem ruszam w stronę łazienki. Nie rozumiem jego zachowania, ale mam nadzieję, że niebawem coś rozjaśni mój umysł.

Kiedy docieram do swojej sypialni, krzywię się na zapach alkoholu. Uchylam okno, po czym podchodzę do szafy. Wyjmuję ubrania na dwa dni oraz piżamę, bo jeśli dobrze zrozumiałam — nie wrócimy dziś na noc. Nie mam pojęcia, czy Josephine wie cokolwiek na ten temat. Jeśli nie, czy powinnam ją o tym poinformować? Mimo wszystko będzie się pewnie martwiła. Ech, chrzanić to.

Rozglądam się po pomieszczeniu, a mój wzrok pada na telefon. Nie ruszyłam go przez ostatnie dni, choć wibrował nieustannie. Nie miałam siły na cokolwiek, a przede wszystkim — na jakiegokolwiek rozmowy. Na ekranie wyświetlają mi się cztery najnowsze powiadomienia.

Od: Zoe

Dlaczego nie ma was w szkole? Logan mówi, że nie czujesz się najlepiej, ale Chase'a też nie ma. Odezwij się.

Od: zimnysuk

odbierz ten cholerny telefon!

Od: Caroline

Jutro wieczorem będę w Crosby.

Ignoruję wiadomości od Aideny oraz Caroline. Nie mam ochoty z nikim pisać, dlatego informuję tylko Zoe, że u mnie wszystko w porządku. Stukam również szybką informację do Josephine.

Do: Josephine

jedziemy za miasto. wrócimy jutro

Odrzucam telefon na pościel. Zakładam parę džinsów, białą koszulkę oraz sweterek, a pozostałe ubrania wkładam do torby. Głowa mi paruje. Staram się złożyć to wszystko w jakąkolwiek całość, ale nie potrafię. Zastanawiam się, jak się czuje Josephine. Wiem, że zależy jej na siostrzeńcu, i nie umiem sobie wyobrazić, jakim bólem musiało być dla niej wyznanie prawdy.

Kiedy już jestem spakowana, idę do łazienki. Myję dokładnie zęby, co zajmuje mi więcej czasu niż zwykle. Maluję rzęsy maskarą. Gdy widzę się w lustrze, mam ochotę się rozpłakać. Nie wiem, w którym momencie zrobiłam się tak emocjonalna, ale nie podoba mi się to. Mam tylko nadzieję, że Chase tego nie widzi. Nie chcę, aby dostrzegał moje słabości. Nie chcę jego litości, bo to takie głupie. Jest dobrym człowiekiem, za dobrym. I właśnie dlatego wrócił.

Wciskam do kosmetyczki kilka niezbędnych, po czym wracam do pokoju i dorzucam ją do torby. Ładowarka, portfel... Niecałe pięć minut później jestem gotowa. Dyszę ciężko, jakbym była po maratonie, chociaż nie zrobiłam nic nadzwyczajnego.

Pukanie do drzwi sprawia, że prostuję się niczym struna. Chase bez pozwolenia wchodzi do mojego pokoju. W rękę trzyma torbę oraz papierową reklamówkę z jedzeniem. Rozgląda się po pomieszczeniu, po czym zatrzymuje wzrok na mnie.

— Gotowa? — pyta beznamiętnie.

Nienawidzę tego tonu. Staram się zignorować ścisk w dole brzucha, przez który znów mam ochotę zwrócić wszystko, co zjadłam, ale nie potrafię. Kiwam jedynie głową, biorę swoje rzeczy, a z łóżka zgarbiam telefon. Widzę na wyświetlaczu kolejne powiadomienia, dlatego nie chcąc się więcej stresować, wyłączam urządzenie całkowicie i wciskam je do kieszeni.

Z chłopakiem u boku idę na parter. Dom jest pusty, a ja dopiero teraz dostrzegam, że za chwilę wybiję drugą. To oznacza, że wszyscy są jeszcze w pracy, a ja przespałam pół dnia. Matko.

Wciskam sprawnie swoje ukochane znoszone vansy, niezmiennie czując na sobie wzrok bruneta. Kiedy jestem już gotowa do wyjścia, opuszczamy budynek, zamykamy go, a następnie pakujemy bagaże do chevroleta.

— Czy ty kiedykolwiek nauczysz się zapinać pasy? — burczy pod nosem, odpalając samochód.

Tak bardzo nie lubię, gdy zwraca się do mnie w ten sposób. Wiem, że zasłużyłam na chłodne traktowanie. Cholera, dziwię się, że w ogóle jeszcze ze mną rozmawia. Chciałabym umieć wyłączyć uczucia, ale nie wiem jak. Względem niego wydaje się to niemożliwe, dlatego jedyne, co mogę zrobić, to udawać, że ich nie mam.

— Jedziemy do jedynej osoby, która zawsze chciała prawdy — mówi nagle.

Nie odpowiadam. Przenoszę wzrok na ulicę. Do kogo jedziemy? Kim jest ta osoba? Czy ją znam? Myślę o Caroline, ale przecież ona jest w Manchesterze.

— Wymiotowałaś jeszcze? — pyta po dziesięciu minutach ciszy, zagłuszonej muzyką z radia.

— Nie — odpowiadam automatycznie.

Cieszy mnie to, bo naprawdę bardzo się męczyłam. Nie miałam już czego zwracać, więc pozostała tylko żółć. Okropne uczucie.

— To dobrze.

Nagle jego dłoń ląduje na moim udzie, a moje ciało spina się na ten dotyk. Czuję, jak ciepło rozlewa się po moim wnętrzu, paraliżując mnie. Kiedy kciuk chłopaka zaczyna kreślić małe kółka na materiale dżinsów, mam wrażenie, jakbym z każdą chwilą słabła coraz bardziej. Dlaczego to robi? Dlaczego tak bardzo miesza mi w głowie?

Patrzę na bruneta, który nawet na chwilę nie spuścił wzroku z drogi. Każdy jego ruch jest naturalny. Nie wydaje się zestresowany ani nieświadomy swoich czynów. Nie rozumiem go. Jest chodzącą sprzecznością.

— Opowiedz mi coś o sobie. — Rzuca mi krótkie spojrzenie.

Dłoń znika z mojego uda, aby zmienić bieg. Obserwuję, jak chłopak wychyla się ze swojego siedzenia. Po chwili na moich kolanach ląduje torebka z jedzeniem, którego nie skończyłam, a palce Chase’a wracają na pierwotne miejsce nad moim kolanem.

Wyjmuję burgera i frytki, nie myśląc nawet o jakiegokolwiek dyskusji. Im dłużej z nim jestem, tym większy głód czuję. Wcześniej nie zwracałam na to uwagi, bo stres pożerał mnie od środka, ale teraz jest obok. A kiedy jest obok, nie boję się. Nie umiem tego wyjaśnić. Nie potrafię nie czuć się bezpieczna czy spokojna, gdy on jest w pobliżu. Nawet w takich okolicznościach.

— A od czego mam zacząć? — pytam, po czym wgryzam się w kanapkę.

Kącik jego ust się unosi.

— Najlepiej od początku — mówi, gdy wjeżdżamy na autostradę.

Poprawiam się na fotelu i oblizuję usta. Nie bardzo rozumiem, do czego prowadzi ta rozmowa, ale niech będzie. Mam nadzieję, że Chase nie podejrzewa, że skłamię, choć nie zdziwiłabym się, jeśli takowa myśl przeszłaby mu przez głowę.

— Urodziłam się ósmego listopada w Santa Monica. Mój ojciec nazywa się Terrence, a mama Margaret. — Gdy wypowiadam imię kobiety, czuję coś dziwnego. Nie wiem, co mam myśleć o tym wszystkim, szczególnie teraz. — Zmarła, gdy miałam niecałe cztery miesiące. Kilka lat później mój ojciec ponownie się ożenił. Z Natalie. Od tamtej pory ona i Aiden mieszkają z nami, choć nie pamiętam, kiedy to dokładnie było.

— Aiden to jej syn?

— Siostrzeniec — poprawiam. Kiedy nic nie mówi, kontynuuję: — W zasadzie nie mam wiele do opowiedzenia. Moje życie było raczej proste. Chodziłam do szkoły, uczyłam się, a później związałam się z moim pierwszym i jedynym chłopakiem, Nate’em. — Czuję, jak dłoń chłopaka zaciska się na moim udzie, gdy wypowiadam jego imię. — Było w porządku i...

— Uderzył cię — przypomina.

— Tak. Ale tylko jeden raz.

Chase prychnął pod nosem.

— Jesteś głupia, Parker. Serio, bronisz go po czymś takim? — Unosi brwi, posyłając mi pełne politowania spojrzenie.

— Ja go nie... No dobrze, może masz rację. Jestem głupia.

— Nie w tym rzecz. Po prostu dla mnie typ, który podnosi rękę na kobietę, robi jej jakieś pojebane zdjęcia, a później je rozsyła, jest zwykłym śmieciem. Dziwi mnie, że ty tak normalnie się o nim wypowiadasz. Gdybym go kiedyś spotkał, źle by się to skończyło. — Jego głos jest chłodny. Nie potrafię nie zareagować uśmiechem, bo to naprawdę fajne, że ma takie zdanie. — Jesteś za dobra, Elizabeth — mówi cicho, a bicie mojego serca przyspiesza, kiedy wypowiada moje pełne imię.

On rzadko go używa. Cholera, prawda jest taka, że powiedział tak do mnie tylko raz. Nawet nie wiem, dlaczego o tym myślę. Przecież to nic takiego, prawda?

— Nie jestem dobra. Zrobiłam wiele złych rzeczy. Okłamałam wiele osób, zataiłam... Dobry człowiek nie kłamie. — Wkładałam do ust frytkę.

— Czasem po prostu nie mamy wyjścia.

Nie odpowiadam. Czy właśnie takie zdanie ma na ten temat? Czy uważa, że nie miałam wyjścia i dlatego to zrobiłam? Chciałabym wejść na moment do jego głowy i zrozumieć, co skrywa ten chłopięcy umysł. Myślę, że nieźle bym się zdziwiła.

— Czy Omar kiedykolwiek dotknął cię bez twojej zgody? — pyta nagle, a ja zamieram z ręką w powietrzu. — Okej — mówi po chwili ciszy, która zapanowała między nami.

On wie. Oczywiście, że wie, a ja nie muszę na to odpowiadać. Chase Shaw jest inteligentny. Potrafi dodać dwa do dwóch i połączyć fakty czy wyciągnąć wniosek z milczenia. Zauważyłam to już dawno temu. Od początku wyróżniał się na tle swoich znajomych. *Milczący obserwator, usilnie chroniący wszystkie kobiety na tym świecie.* Chase Shaw jest za dobry na ten świat.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Mosty splonęły, wyspa zatонуła... a uśpione demony przeszłości budzą się do życia

Z małej iskry może powstać pożar. Przelotne zauroczenie może się przerodzić w więź o wiele silniejszą od miłości. Jedno drobne kłamstewko może zapoczątkować tkanie pajęczyny, z której zaplątanym w nią ofiarom trudno się będzie wydostać.

W życiu Lizzy i Chase'a kłamstw jest tyle, że można by nimi obdzielić kilkoro ludzi. A kiedy kurtyna zakłamania opada, prawda nie przynosi ulgi. Rodzi tylko kolejne pytania i wątpliwości. Kto jest kim? Komu można zaufać, skoro nawet sobie ufać do końca nie sposób?

Nad Crosby zbierają się ciemne chmury. Nadchodzi huragan, a po nim coś, na co żadne z nich, ani Lizzy, ani Chase, nie jest gotowe.

*Kontynuacja pokochanej przez czytelniczki powieści **spark**.*

Patroni medialni:



beyA 18+
beyA.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-283-9232-8



9 788328 392328

cena 49,90 zł